

Styczeń 2014

## Człowiek roku

Ogłoszenie przez tygodnik Time papieża Franciszka człowiekiem roku 2013 nikogo zbytnio nie zdziwiło. Zdołał on w przeciągu kilku miesięcy zjednać sobie powszechną sympatię nie tylko wśród katolików, ale także wielu ludzi nie mających związku z Kościołem. Udało mu się także skupić uwagę mediów na innych aspektach działalności Kościoła, niż te, które podkreślali dotychczasowi papieże, co osłabiło nieco intensywność krytyki, z jaką od lat spotyka się Kościół. Nie ulega też wątpliwości, że wielu ceni go za osobistą klarowność, czytelne świadectwo życia całkowicie oddanego Bogu, ale jednocześnie zaangażowanego w problematykę społeczną i pomoc konkretnym ludziom. Czy jednak rzeczywiście to właśnie te cechy jego osobowości sprawiły, że Franciszek jest tak popularny?

Część wierzących, a przede wszystkich niewierzących sympatyków papieża zdaje się widzieć w nim symbol i protagonistę innego Kościoła, Kościoła zgodnego z ich oczekiwaniami. I wcale nie chodzi o Kościół wiarygodny, ubogi, żyjący według zasad Ewangelii, ale o Kościół pozbawiony ostrych kantów, ugrzeczniony, rezygnujący z poruszania kontrowersyjnych tematów i krytyki współczesnej mentalności. Chodzi o Kościół, który przestałby być ościeniem dla dekadencji kultury euroatlantyckiej, a stałby się jej duchowym powiernikiem, przyzwalającym na moralny relatywizm, a nawet serwującym doń uduchowione uzasadnienia.

Tego typu tendencję dostrzec można w zamieszczonym w magazynie Time uzasadnieniu do wyboru Franciszka na człowieka roku: godnym uznania medialnych jurorów było *tempo w jakim poruszył wyobraźnię milionów ludzi, którzy w ogóle utracili nadzieję pokładaną w Kościele*. A zatem papież - tak!

Kościół - zdecydowane nie!? Tego rodzaju wypowiedzi pojawiają się zarówno w renomowanych ogólnościowych mediach, jak też w wypowiedziach osób i instytucji znanych ze swego jednoznacznie antychrześcijańskiego i antykościelnego nastawienia. W ostatnich miesiącach pojawiły się one także w Polsce. W skierowanym do papieża liście sformułowanym w imieniu Kongresu Kobiet jego autorki przeciwstawiają rzekomą *falę nienawiści* polskich hierarchów i kleru, ostrzegających wiernych przed ideologią gender, *przepięknej, nasyconej duchem ewangelicznej miłości, otwartości, odnowy i pragnieniem pokoju adhortacji apostolskiej Evangelii Gaudium* papieża Franciszka. W podobnym duchu wypowiadają się sygnatariusze odezwy partii Janusza Palikota "Twój Ruch", będącej reakcją na list episkopatu Polski w sprawie ideologii gender. Autorzy odezwy wzywają do otwartego buntu wierzących wobec biskupów, do – jak twierdzą – wzięcia Kościoła w swoje ręce. Zapewniają przy tym tych, którzy będą do tego gotowi: *Macie za sobą wielu duchownych i świeckich ludzi dobrej woli. Macie za sobą papieża*. W obydwu przypadkach chodzi rzekomo o działania zmierzające do odnowy, a nawet do ratowania Kościoła.

Nie trzeba wielkiej przenikliwości, by dostrzec w takich inicjatywach próbę podsycania napięć i rozsadzenia jedności Kościoła, by ostatecznie dostosować go do oczekiwań tych, którzy nie przejmują się Ewangelią. Papież jest tu kreowany niemalże na kościelnego kontestatora, dysydenta, który staje w jednym szeregu z tymi, którzy chcieliby Kościoła spolegliwego, zredukowanego do roli nadwornego proroka, swoistego figowego listka, zakrywającego postępujący rozkład cywilizacji euroatlantyckiej.

Czytając uważnie dawne i obecne wypowiedzi papieża, nietrudno prognozować, że takie oczekiwania zostaną ostatecznie rozczarowane. Wcześniej czy później będzie musiało dojść do konfrontacji, gdy okaże się, że

Franciszek, przy całej swojej spontaniczności i serdeczności wobec inaczej myślących, jest wierzącym katolikiem, biskupem Kościoła, wiernym przesłaniu Ewangelii także w tych punktach, które boleśnie ranią opartą na relatywizmie postnowoczesną mentalność. Wielkość tego papieża okaże się wtedy, gdy będzie musiał utracić tę niezwykłą popularność, kiedy te same media i środowiska, które obecnie się nim zachwycają, zdiagnozują jego konserwatyzm, sprzeciw wobec epokowych zmian w dziedzinie moralności i zdecydowaną wolę wierności Chrystusowej nauce. Konfrontacja ta będzie zapewne bolesna tak dla Franciszka, jak i dla całego Kościoła. Jak to już jednak było niejednokrotnie, pozwoli ona jeszcze klarowniej głosić Ewangelię współczesnemu światu. W porę i nie w porę.

Luty 2014

### **... bardzo w Bożych rękach...**

Kto oczekiwał, że w opublikowanych "Notatkach osobistych 1962-2003" Karola Wojtyły / Jana Pawła II znajdzie jakieś sensacyjne wypowiedzi, które trafią na czołówki gazet, musiał się rozczarować. Zawartość ponad sześćset stronicowego tomu stanowią w pełnym tego słowa znaczeniu luźne zapiski, a więc okazjonalne, krótkie notatki w różnych językach, zależnie od okresu życia, oraz kontekstu. Nie jest to w żaden sposób ani diariusz, ani – określając to dzisiejszym językiem – rodzaj bloga. Przede wszystkim dlatego, że pierwotnie nie był przeznaczony do publikacji. Wiele notatek sprawia wrażenie szyfrów i symboli, ujętych w formie skrótów, inicjałów i równoważników zdań, których sens znany jest tylko autorowi. Wprawny w duchowej i teologicznej lekturze

czytelnik potrafi mimo to rozpoznać w nich czasami asocjacje i reminiscencje biblijne oraz echa wielkich tematów, sporów i kontrowersji teologicznych.

Po co biskup Wojtyła, a potem kardynał i papież robił te notatki? Większość z nich to notatki rekolekcyjne bądź dokonane w czasie dni skupienia. Z ich lektury wynika, że są one rodzajem autorefleksji, do której się od czasu do czasu wraca. Autor sam definiuje sens rekolekcji w taki sposób: *mają [one] na nowo przejrzeć drogę duszy* (s. 105). Notatki te stanowią więc coś w rodzaju punktów i znaków rozpoznawczych, rejestrowanych lub ustawianych przez wędrowca, które się od czasu do czasu przywołuje w pamięci, by odświeżyć orientację w duchowej przestrzeni. Jak to się zazwyczaj dzieje w czasie rekolekcji, kard. Wojtyła/Jan Paweł II zapisywał zapewne echa refleksji, jakie snuł prowadzący rekolekcje kapłan, traktując je jako kanwę, na której podstawie dodawał własne uwagi i przemyślenia. Pojawiają się w nich sporadyczne uwagi dotyczące własnego postępu w wierze, treści prawd wiary i różnych twierdzeń teologicznych. Czytelnik dostrzega wyostrzoną świadomość toczącej się w świecie i w sercu każdego człowieka zmagania z mocą zła, a jednocześnie przeczuwa, jak wielkie znaczenie w tej walce ma dla Autora "Zapisków" postać Maryi: *Maryja leczy nas z chłodu [imię szatana - "chłód"]* (s. 146). Gdy ten przenikliwy demoniczny chłód staje się widoczny i odczuwalny, wobec ciężaru spoczywającej na nim odpowiedzialności Autor przywołuje Apokalipsę św. Jana: *Przestań się lękać. Ja mam klucze!* (s. 253). Dzięki całkowitemu oddaniu Chrystusowi przez Maryję potrafi on dostrzec piękno wiary chrześcijańskiej, stwierdzając że *jest [ona] godna życia i śmierci. Jest godna, aby z nią związać cały swój los* (s. 302). Nie jest ona i nie może być jedynie dodatkiem do życia, ale jest niezbędna, by stać się i pozostać w pełni człowiekiem: *Przykazania [...] służą ochronie wszystkiego, co prawdziwie i najgłębiej ludzkie* (s. 376).

Od czasu do czasu pojawiają się w "Zapiskach" reminiscencje wydarzeń i spotkań z ludźmi. W kontekście spotkań z Ruchem Światło-Życie w 1977 r. metropolita krakowski zapisuje słowa, które można określić jako prorocze i dzisiaj jeszcze bardziej aktualne, niż wtedy: *Koniecznie potrzebne są w świecie współczesnym wspólnoty chrześcijan - dzieci Bożych - zjednoczone prawdą i miłością, ażeby "odtruwać atmosferę"* (s. 179). Na tle tych refleksji dostrzec można często powracający temat, którego zgłębienie było zapewne jednym z czołowych motywów, które skłoniły Karola Wojtyłę / Jana Pawła II do zapisywania osobistych notatek. Jest nim sens i treść posługi Kościołowi, jaką ma do spełnienia kapłan, biskup, papież.

Dla niejednego czytelnika "Notatki" Karola Wojtyły / Jana Pawła II mogą być przysłowiową księgą zamkniętą na siedem pieczęci, której lektura nie będzie specjalnie interesująca. Dla kogoś jednak, kto chce wnikać w wewnętrzny świat, w głębię osobowości polskiego papieża, publikacja ta jest niewątpliwie wartościowa. Zapiski te, do pewnego przynajmniej stopnia, odsłaniają tajemnicę świętości polskiego papieża i stanowią dopełnienie jego oficjalnych wypowiedzi, dokumentów, przemówień i orędzi. Szczególnie cenne mogą one być dla kapłanów, biskupów i osób konsekrowanych, którzy mogą odnaleźć w nich echo wielu zmagień, które sami przeżywają na drodze życia wewnętrznego.

Ukazaniu się "Notatek osobistych 1962-2003" towarzyszyła dyskusja na temat decyzji kard. Stanisława Dziwisza dotyczącą ich publikacji. Nie ulega wątpliwości, że decyzja ta nie była w pełni zgodna z rozporządzeniem zawartym w testamentie zmarłego papieża. Z drugiej jednak strony, biorąc pod uwagę, że jest to lektura mało spektakularna, chociaż jednocześnie (dla zainteresowanych) niewątpliwie cenna i ubogacająca, trudno odczuwać oburzenie, że testament Jana Pawła II w odniesieniu do tych dwóch

rekolekcyjnych zeszytów nie został wykonany literalnie. Z dużą dozą pewności można przypuszczać, że kiedyś, przy ponownym spotkaniu Karola i Stanisława po drugiej stronie życia, nie będzie z tego powodu wymówek i pretensji....

Marzec 2014

### **Sumienie - osobista fanaberia?**

W ostatnich miesiącach zostały opublikowane dwa dokumenty, które niemalże całkowicie przeszły bez echa. Są one świadectwem sporu, którego intensywność wzrosła w ostatnich kilku latach i który może już wkrótce mocno wpłynąć na kształt służby zdrowia. Chodzi o wydane w listopadzie 2013 r. oświadczenie Komitetu Bioetyki przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk dotyczącej tzw. klauzuli sumienia oraz o opublikowane w grudniu 2013 r., a będące reakcją na poprzedni dokument stanowisko Zespołu Ekspertów Konferencji Episkopatu Polski ds. Bioetycznych.

Historia społeczeństw, które mają za sobą zniewolenie systemami totalitarnymi sprawiła, że zawsze bardziej niż gdzie indziej ceniono w nich sumienie. Było ono zawsze symbolem osobistej wolności, synonimem postawy niezależności wobec zewnętrznego nacisku, nawet jeżeli miałoby to oznaczać utratę wielu cennych dóbr. Ludzie sumienia zawsze byli szanowani, jako ci nieliczni, którzy dzięki swojej odwadze i determinacji pokazywali publicznie, co znaczy żyć godnie. Kto czyta oświadczenie Komitetu Bioetyki PAN, wkracza w zupełnie odmienny świat. Członkowie Komitetu wyrażają zaniepokojenie tym, że lekarze w wykonywaniu swej pracy rzekomo zbyt często i zbyt pochopnie powołują się na klauzulę sumienia, tzn. odmawiają świadczeń, które w sumieniu uznają za sprzeczne z powołaniem lekarza. Zgodnie z obowiązującym

w Polsce prawem i etosem lekarskim prawo lekarza do odmowy świadczeń w oparciu o sprzeciw sumienia jest dopuszczalne, chyba, że chodzi o sytuację zagrożenia życia i zdrowia pacjenta oraz inne przypadki nie cierpiące zwłoki. Właśnie to ostatnie zastrzeżenie, ze względu na bardzo szerokie sformułowanie, daje pole do roszczeń, które utrudniałyby, a czasem wręcz uniemożliwiałyby powołanie się lekarza na klauzulę sumienia. Do takich przypadków nie cierpiących zwłoki miałyby należeć przede wszystkim usługi związane z tzw. "prawami reprodukcyjnymi". Za wyrażeniem tym kryje się prawo do wszelkich świadczeń związanych z antykoncepcją i aborcją. Pojęcie praw reprodukcyjnych jest konstruktem, promowanym przez środowiska proaborcyjne i pod ich wpływem znajduje się ono w coraz liczniejszych dokumentach międzynarodowych. Taktyka ta ma doprowadzić do wprowadzenia praw reprodukcyjnych do katalogu podstawowych praw człowieka. Wtedy odmowa realizacji takiego świadczenia przez lekarza oznaczałaby pogwałcenie podstawowych praw człowieka, a więc – jak to interpretuje Europejski Trybunał Praw Człowieka – naruszenie zakazu tortur oraz niehumanitarnego i poniżającego traktowania.

Trudno się dziwić, że Zespół Ekspertów KEP zdecydowanie sprzeciwia się takiej interpretacji. Nie tylko redukuje ona sumienie do rangi osobistej fanaberii, jakiejś niezdrowej nadwrażliwości, ale każe postrzegać sięganie lekarza po klauzulę sumienia jako brak kompetencji bądź sprzeniewierzenie się obowiązkom, a nawet pewną formę okrucieństwa. Jak piszą eksperci KEP, *stanowisko Komitetu Bioetyki przy Prezydium PAN prowadzi do degradacji zawodu lekarza, który w zakresie tzw. Praw reprodukcyjnych, czyli oczekiwań związanych z regulacją poczęć i przerywaniem ciąży, zostaje sprowadzony do roli dostawcy "medycyny życzeń".* W swoim stanowisku eksperci podkreślają, że lekarzowi nie można narzucić obowiązku wystawiania recept na

środki o wyraźnym działaniu przeciwwzględzeniowym, a także środki antykoncepcyjne, gdy brak jest wyraźnego celu terapeutycznego. Również farmaceuta nie może być prawnie zobowiązany do realizacji tego typu recepty. Nie ma też obowiązku przekazywania informacji, która może prowadzić do dokonania aborcji.

Zawarte w obu wspomnianych dokumentach diametralnie odmienne oceny są czymś więcej, niż jedynie konfliktem stanowisk w jakichś drugorzędnych kwestiach etycznych. Wskazują one raczej na pogłębiający się konflikt między zupełnie odmiennymi wizjami świata i cywilizacji. Kiedy Jan Paweł II pisał o dwóch cywilizacjach – cywilizacji życia i cywilizacji śmierci, dla wielu obserwatorów jego słowa były raczej swego rodzaju kaznodziejską retoryką, niż rzeczywistą analizą sytuacji świata. Tymczasem tzw. Standardy międzynarodowe dotyczące obszaru medycyny coraz mniej przypominają służbę zdrowia. Dobrze, że oświadczenia promujące "medycynę życzeniową" nie są jedynymi głosami na ten temat w przestrzeni publicznej.

Kwiecień 2014

## **Proboszcz świata**

Trudno się dziwić, że kwietniowe uroczystości kanonizacyjne w Rzymie są w świadomości wielu Polaków po prostu kanonizacją Jana Pawła II. Silny emocjonalny związek z nim jest dla każdego Polaka czymś zupełnie naturalnym. A jednak szkoda, że zapomina się o tym, że jest to kanonizacja dwóch papieży: Jana Pawła II i Jana XXIII. Biorąc pod uwagę statystyki, ten ostatni nie ma co się równać z „papieżem z dalekiego kraju”: jego zaledwie prawie pięcioletni pontyfikat błędnie przy dwudziestu siedmiu latach nieustrudzonej służby Jana

Pawła II, a fakt, że Jan XXIII nie odbył żadnej zagranicznej podróży, porównany z ponad setką pielgrzymek Jana Pawła II, nie mówiąc już o rekordowej liczbie osób wyniesionych przez polskiego papieża na ołtarze, sprawia wrażenie, że mamy tu do czynienia z niemal niebotyczną różnicą klas. Statystyki to jednak nie jest właściwa skala porównawcza.

Angello Roncalli (1881-1963), który po wyborze na Stolicę Piotrową przyjął imię Jana XXIII, został ze względu na swój podeszły już wiek (77 lat) wybrany jako papież przejściowy. Nie liczył się w rankingach przed konklawe. Stało się to przyczyną niemałej konfuzji, gdy się okazało, że nie przewidziano wcześniej sutanny dla nowego papieża, który byłby tak gruby, jak Roncalli. A jednak to właśnie on stał się kluczową postacią w najnowszej historii Kościoła. Obok jego zupełnie nowego stylu i historycznych zabiegów ekumenicznych, wydarzeniem o fundamentalnym znaczeniu było zwołanie Soboru Watykańskiego II. W czasach, gdy papież nosił tiarę i był noszony na ramionach mężczyzn w specjalnej lektyce (*sedia gestatoria*), zerwanie z różnymi elementami dworskiego ceremoniału musiało być niemałym szokiem.

Pojawiają się dziś opinie, że zwołanie soboru było błędem, którego skutkami były zeświecczenie kleru, masowe odejścia kapłanów i utrata duchowego znaczenia Kościoła. Takie twierdzenia są jednak fałszywe. Otwarcie Kościoła na dialog ze światem oraz - jak to określił Jan XXIII - *aggiornamento*, czyli „uwspółcześnienie” było krokiem niezbędnym. Gdyby nie prorocza intuicja Jana XXIII, krok ten dokonałby się znacznie później i zapewne byłby okupiony jeszcze większymi stratami. Owszem, nadanie współczesnego kształtu strukturom i kultowi Kościoła, dostosowanie jego obecności w świecie do nowej mentalności i nabycie umiejętności głoszenia Ewangelii sposobami i środkami zrozumiałymi dla współczesnego człowieka, było bolesne i trwało kilka dziesięcioleci. Ale można zaryzykować twierdzenie, że bez tego kroku kształt posługi piotrowej,

jaki jej nadał Jan Paweł II, a może nawet sam wybór na papieża nie-Włocha, nie byłyby możliwe.

Jan XXIII nigdy nie wyrzekł się swojego pochodzenia z biednej rolniczej rodziny i nigdy nie przestał być zwyczajnym, bezpretensjonalnym człowiekiem, a jego bezpośredniość i poczucie humoru zaskarbiły mu sympatię i miłość wielu ludzi. To właśnie ta serdeczna jowialność przyniosła mu przydomek „proboszcza świata”. Świadomy swoich braków i niemalże porażony swoją małością i zwyczajnością, odzyskiwał radosną i zdrową pewność siebie, czując się kochanym i prowadzonym przez Boga. *Bóg jest wszystkim, ja jestem niczym. To na dzisiaj wystarczy* - to zdanie z 16 października 1962 r. mistrzowsko charakteryzuje jego duchowość. To właśnie głęboka, niemal dziecięca wiara pozwalała mu z zaufaniem, ale i dystansem i humorem, podchodzić do ciężących na nim obowiązków i meandrów papieskiego ceremoniału. Istnieją całe zbiory anegdot i powiedzonek pochodzących od „proboszcza świata”. Kiedy pewnego dnia w czasie spaceru jakaś kobieta z tłumu krzyknęła: *Boże, jaki on jest gruby!*, Jan XXIII odparł: *Ależ proszę Panią, Pani przecież musi wiedzieć, że konklawe to nie jest konkurs piękności*. Gdy pewnego dnia ubierał uroczyste papieskie szaty, miał stwierdzić: *Jestem ubrany jak jakiś perski satrapa!*

Bezpośredni, dowcipny, a jednocześnie emanujący łagodnością i dobrocią stary papież, nie by jednak człowiekiem powierzchownym. Jego teksty, przede wszystkim „Dziennik duchowy” odsłaniają głęboko wierzącą osobę, pełną pokory i całkowitego zdania się na Boga. Książka ta zawiera zapiski rekolekcyjne, które rozpoczyna pisać kilkunastoletni Roncalli i któremu to zwyczajowi pozostaje wierny aż do późnej starości. Dla powierzchownego czytelnika nie jest ona niczym szczególnym. Zawiera postanowienia, przemyślenia o tym, jak być dobrym i jak unikać zła, osobiste korekty i

napomnienia. Jednak, jak to określiła Hannah Arendt dziennik duchowy Jana XXIII jest jednocześnie *dziwnie rozczarowujący i dziwnie fascynujący*. Także dzięki takim tekstom, jak jego duchowy testament. Żegnając się z tym światem, stary papież pisał: *Dobroć, którą wszyscy spotkani na mojej życiowej drodze obdarowali moją biedną osobę, wprowadziła w moje życie wiele radości. W obliczu śmierci myślę o wszystkich razem i o każdym z osobna, którzy mnie na tej ostatniej drodze poprzedzili, którzy mnie przeżyją i którzy za mną podążą. Niechże się za mnie modlą. Odwdzięczę im się z czyśćca albo z nieba, do którego mam nadzieję być wziętym, powtarzam to raz jeszcze, nie z powodu moich zasług, ale dzięki miłosierdziu Pana*. Od kwietnia 2014 r. wiemy na pewno, że jego nadzieja nie została rozczarowana.

Maj 2014

## **Święci i ich adwersarze**

Kanonizacja Jana Pawła II i Jana XXIII była doprawdy wydarzeniem niezwykłym, nie tylko w wymiarze kościelnym, ale także społecznym i to na płaszczyźnie globalnej, bo też każdy ze świętych papieży wpłynął nie tylko na losy Kościoła, ale i świata. Obydwaj papieże byli szanowani, nie tylko jako pasterze Kościoła, ale także jako osobowości, włączające się aktywnie w rozwiązywanie problemów społecznych i politycznych. Obok powszechnej radości i dumy wśród katolików, ale także wielu osób inaczej wierzących, doceniających zaangażowanie obu znamienitych pasterzy Kościoła, pojawiły się także głosy krytyki i niezadowolenia, którym warto się przyjrzeć. Odzwierciedlają one dwie wizje roli Kościoła, różne od tej, którą Kościół katolicki uważa za swoją.

Pierwszą grupę przeciwników kanonizacji papieży (a w Polsce szczególnie Jana Pawła II) stanowią osoby i grupy deklarujące się zazwyczaj jako niewierzący, podkreślające świeckość państwa i konieczność radykalnego rozdzielenia państwa i Kościoła. Można by ich określić jako rzeczników *państwa zamkniętego* na religię. Są oni wprawdzie skłonni przyznać religii miejsce w sferze prywatnej, ale niedopuszczalne jest, ich zdaniem, jakiegokolwiek angażowanie władz i urzędników państwowych oraz mediów publicznych w sprawę kanonizacji, która jest prywatną sprawą pewnej grupy religijnej – Kościoła katolickiego. Głos zwolenników takiego "sterylnego", a więc ostatecznie ateistycznego państwa stał się widoczny w czasie sejmowego głosowania nad uchwałą w sprawie kanonizacji Jana Pawła II.

Koncepcja laickości państwa, rozumianej jako radykalne zamknięcie przestrzeni publicznej dla Kościoła i innych związków o charakterze religijnym, jest nie do przyjęcia. Kościół katolicki nie neguje wprawdzie "uprawnionej autonomii rzeczywistości ziemskich", co zostało jasno wyrażone w soborowej Konstytucji o Kościele w świecie współczesnym, nr 36. Nie może to jednak oznaczać wykluczenia osób wierzących z debaty publicznej, w której – właśnie jako wierzący, a nie jedynie "laiccy" i "neutralni" obywatele czy urzędnicy – prezentują oni wizję świata, jaką podpowiada im wiara. Nie czynią przecież niczego innego, niż to, do czego zmierzają zwolennicy państwa laickiego: korzystają ze swojej obywatelskiej wolności, której nie wolno im odbierać. Jeżeli laickość państwa miałaby oznaczać jego instytucjonalną ateizację, to zwolennicy takiej wizji znajdą w Janie XXIII i Janie Pawle II zdecydowanych jej przeciwników.

Istnieje także druga grupa krytyków kanonizacji, której rzecznicy również nie zgadzają się z wizją Kościoła, jaką kierowali się Jan XXIII oraz Jan Paweł II. W odróżnieniu od pierwszej grupy są to jednak adwersarze, rzec by można,

wewnątrzkościelni. Można by ich określić jako rzeczników *Kościół zamknięty* na świat. Grupy związane z Bractwem Kapłańskim im św. Piusa X (lefebryści) uznali kanonizację Jana Pawła II za nieważną i fałszywą. Oznacza bowiem, ich zdaniem, swoistą kanonizację Soboru Watykańskiego II wraz z jego dokumentami dotyczącymi reformy liturgicznej, wolności religijnej, ekumenizmu oraz zasady kolegialności w Kościele. Droga Kościoła, wyznaczona przez ostatni sobór została przez te grupy zanegowana, chociaż wszyscy papieże posoborowi, począwszy od inicjatora soboru – Jana XXIII, poprzez Pawła VI, Jana Pawła I, Jana Pawła II, aż do Benedykta XVI i Franciszka uważali dziedzictwo *Vaticanum Secundum* za obowiązujące, choć wymagające poprawnej interpretacji. Zarówno w okresie posoborowym, jak i dzisiaj, nie brak interpretacji nauczania soborowego, które koncentrują się na rzekomym "duchu soboru", pomijając jednak jego literę. W owym "duchu soboru" miałyby się mieścić takie wizje Kościoła, w których gubi on zupełnie własną tożsamość. Czasami ten całkowicie przystosowany do mentalności świata i grzecznie skrojony na jego miarę Kościół bywa określany jako "Kościół otwarty". O takie otwarcie, które jest równoznaczne z kapitulacją wobec neopogańskiej mentalności, rządzącej wieloma sferami współczesnego świata, nie chodziło oczywiście żadnemu z posoborowych papieży. Alternatywą nie jest jednak, jak chcą lefebryści, Kościół zamknięty na świat, ale Kościół, który jest otwarty na współpracę z wszystkimi ludźmi dobrej woli, chociaż jednocześnie świadomy swojej tożsamości i posłannictwa.

Kanonizacja Jana XXIII i Jana Pawła II stała się niewątpliwie znakiem dla świata, znakiem czytelnie przypominającym o miejscu i roli Kościoła wymiarze wewnętrznym, ale także w przestrzeni społecznej. Dla tych, którzy tej wizji Kościoła nie podzielają, wyniesienie na ołtarze wielkich papieży ostatnich dziesięcioleci stało się znakiem sprzeciwu.

Czerwiec 2014

## ***Deklaracja Wiary* lekarzy katolickich niezgodna z konstytucją?**

Podpisanie *Deklaracji Wiary* (<http://www.deklaracja-wiary.pl/>) przez ponad trzy tysiące lekarzy i studentów medycyny oraz symboliczne złożenie tablic zawierających jej tekst na Jasnej Górze wywołało ożywione reakcje, szczególnie wśród zwolenników sterylnej świeckości państwa. Nie brakuje obaw, że może ona prowadzić do dyskryminacji tych pacjentów, którzy nie podzielają przekonań sygnatariuszy *Deklaracji*, ale także wywołać lawinę podobnych deklaracji nie tylko przedstawicieli innych zawodów, ale także osób wyznających zupełnie odmienne wartości. Inicjatorką i autorką tekstu *Deklaracji* jest Dr Wanda Półtawska, lekarka z wieloletnim stażem i przyjaciółka Jana Pawła II. Jak podkreśla Półtawska, poparcie dla *Deklaracji* ma być wotum wdzięczności za kanonizację Jana Pawła II, gdyż znajduje się w niej zobowiązanie wierności wartościom życia i rodziny, które polskiemu Papieżowi były szczególnie drogie. Jednocześnie – i to zapewne stało się zarzewiem sprzeciwu – sformułowano w niej jednoznaczne "nie" dla współdziałania lekarzy w stosowaniu antykoncepcji, przeprowadzaniu aborcji, eutanazji oraz zapłodnienia in vitro.

*Deklaracja Wiary* ujawniła raz jeszcze ostry konflikt o kształt medycyny, który nieustannie narasta. Dawna naczelna zasada zawodu lekarskiego, zgodnie z którą dobro pacjenta jest dla lekarza najwyższym prawem (*Salus aegroti suprema lex esto*), bywa zastępowana nową zasadą, zgodnie z którą już nie dobro, ale wola pacjenta (*voluntas aegroti*) ma stać się najwyższym i zobowiązującym lekarza prawem. W ten sposób koncepcja medycyny jako

sztuki leczenia zostaje wypchnięta przez wizję medycyny jako sztuki fachowego spełniania życzeń pacjenta związanych z ciałem i psychiką. Zdrowie i życie nie są już wartościami wiodącymi, które zobowiązują obydwie strony relacji terapeutycznej – zarówno lekarza, jak i pacjenta. Pozostaje jedynie interes pacjenta, który musi być przez lekarza zaspokojony przy użyciu najnowszej wiedzy o funkcjonowaniu ludzkiego ciała. Lekarz, który sprzeciwia się temu, powołując się na fundamentalne wartości oraz swoje sumienie, uważany bywa nie tylko za kogoś, kto narusza godność i prawa pacjenta, ale także za osobę niezdolną do wykonywania swojego zawodu.

W świecie, w którym usiłuje się podnieść aborcję do rangi podstawowego prawa człowieka, zapłodnienie in vitro jest uważane za dobrodziejstwo, a eutanazja staje się wyrazem miłosierdzia, klarowne wyrażenie sprzeciwu sumienia jest niezbędne. Lekarze podpisujący *Deklarację* nie robią przy tym nic, co byłoby niezgodne z Kodeksem Etyki Lekarskiej, wiedzą medyczną, czy konstytucją. Nie jest wbrew pozorom deklaracja dotycząca jedynie "katolickich" wartości. Sygnatariusze *Deklarują* jedynie, że życie i zdrowie pacjenta pozostają dla nich wartościami decydującymi i stąd odmawiają współpracy w praktykach sprzecznych z tymi wartościami.

Najwięcej kontrowersji budzi zawarte w *Deklaracji* uznanie pierwszeństwa prawa Bożego przed prawem ludzkim. Krytycy biją na alarm, że następstwem takiego założenia będzie konfesyjne zawłaszczenie państwa na wzór państw islamskich, a miejsce prawa stanowionego zajmie coś w rodzaju Kodeks Prawa Kanonicznego. Takie twierdzenie jest bezsensowne. Prymat prawa Bożego nad stanowionym oznacza, że żadne ludzkie prawo nie może sobie rościć statusu quasi boskich zasad, które unieważniałyby osąd sumienia pojedynczego człowieka. Prymat ten dotyczy sytuacji konfliktu, gdy prawodawcy usiłują podnieść do rangi prawa reguły sprzeczne z prawem

naturalnym, które każdy człowiek – a wierzący w szczególnie klarowny sposób właśnie dzięki prawu Bożemu – odczytuje w swoim sumieniu. O wadze takiego sprzeciwu wobec praw niegodnych może pouczyć historia. Lekarze nazistowscy, którzy zasiedli na ławie oskarżonych w Norymberdze, byli przekonani o prymacie prawa stanowionego nad sumieniem i prawem Bożym i dlatego sądzili, że usprawiedliwieniem ich zbrodni może być to, że jedynie wykonywali rozkazy wydane przez rządzących.

By właściwie zrozumieć zamiar sygnatariuszy *Deklaracji* wystarczy spojrzeć na deklarację w świetle ostatniego, szóstego jej punktu: *Uważam, że – nie narzucając nikomu swoich poglądów, przekonań – lekarze katoliccy mają prawo oczekiwać i wymagać szacunku dla swoich poglądów i wolności w wykonywaniu czynności zawodowych zgodnie ze swoim sumieniem.*

Lipiec 2014

### **"[...] i kamieni kupa"**

Spółeczeństwo polskie jest przyzwyczajone do różnych sensacji i skandali z udziałem prominentów ze świata polityki, których to skandali i afer w ostatnim ćwierćwieczu nie brakowało. Mimo to ujawniona przez tygodnik "Wprost" treść rozmów czołowych przedstawicieli polityki, ekonomii i biznesu, wśród nich także urzędujących ministrów, zaszokowała nawet najbardziej twarde i obyte z problematyką obserwatorów sceny politycznej. Nie ulega wątpliwości, że nagrywanie osób bez ich wiedzy w czasie prywatnych spotkań przy stole oraz publikacja nagrań bez ich zgody są naganne. To, że nagrania takie będą wykorzystane w bieżącej polityce bądź staną się elementem nacisku, a może nawet szantażu, nie ulega wątpliwości – przecież po to się je nagrywa.

Jednak wbrew oficjalnym deklaracjom elit politycznych, nie sama kwestia nielegalnego podsłuchu i publikacji jest głównym punktem "afery podsłuchowej", ale jest nim to, *co i jak* mówili podsłuchiwanie państwowi dygnitarze. Podczas gdy pierwsze z tych pytań, dotyczące m.in. stopnia zagrożenia dla państwa, można pozostawić fachowcom, to na drugie z nich potrafi odpowiedzieć sobie każdy Kowalski, nawet jeżeli nie zna się zbytnio na meandrach polityki.

Nie jest żadną pociechą, że porażający poziom cynizmu i wulgarności nagranych rozmówców jest odzwierciedleniem zjawisk, które można obserwować codziennie, nie tylko w kontaktach z ludźmi młodymi. Faktycznie, powszechność wulgaryzmów, i to wypowiedzianych głośno, w publicznych miejscach, niemalże bez zażenowania, jest przygnębiająca. Jest ona znakiem zdżyczenia kultury osobistej i totalnego rozkładu moralności publicznej. Analizując kulturę języka przez pryzmat słów Jezusa: *Z obfitości serca usta mówią* (Mt 12, 34), można łatwo wywnioskować, w jakim stopniu brudny i zdeprawowany jest świat myśli i wyobrażeń osób powszechnie używających wulgaryzmów. Ale na wulgarnych słowach się nie kończy. Starożytna mądrość uczy, że *co pomyślisz dzisiaj, powiesz jutro, a zrobisz pojutrze*. Język jest nie tylko odzwierciedleniem poziomu kultury osobistej, ale także ją kształtuje. Wulgarny język dzisiaj to w niedalekiej przyszłości brutalizacja relacji społecznych.

Nie sposób uciec tu od pytania, czy w ogóle możemy oczekiwać kultury osobistej i zwykłej ludzkiej przyzwoitości od polityków i osób publicznych? Jeszcze do niedawna było to oczywiste, że nie można być dobrym nauczycielem, lekarzem czy urzędnikiem, jeśli nie jest się dobrym człowiekiem – również wtedy, gdy nikt nie widzi. Ale to spojrzenie było związane z przekonaniem o stałości zasad moralnych oraz o odpowiedzialności za stan

swojego ducha przed własnym sumieniem, a ostatecznie - o odpowiedzialności przed Bogiem.

W świecie ponowoczesnym, którego nagrani politycy są klasycznymi reprezentantami, nie ma już jednak zasad moralnych i nie ma odpowiedzialności przed Bogiem, a sumienie zdegenerowało się do rangi osobistej fanaberii. Nie ma już prawdy rozumianej jako punkt odniesienia. Nie może więc też być uczciwości i prawości rozumianej jako podstawy nie tylko służby publicznej, ale w ogóle prawego życia. Ich miejsce zajęło kształtowanie wizerunku oraz zewnętrzna zgodność z procedurami. Te dwa elementy sprawiają, że człowiek, będący zwyczajnym wulgarnym draniem, może prezentować się jako uczciwy i kulturalny obywatel i nieskazitelna osoba publiczna i nie ma sobie nic do zarzucenia, gdy ujawnione zostają jego słowa, reakcje i uwagi w obszarze prywatnym. To jest przecież świat, w którym wolno mu odłożyć na bok oficjalne maski i może być sobą. Każdy powinien to rozumieć. Wystarczy, że w przestrzeni publicznej zachowuje wszystkie procedury, do których zobowiązuje go prawo oraz, że umiejętnie dba o swój pijar. To nowe słowo, które robi oszałamiającą karierę, pochodzące od skrótu wyrażenia *Public Relations* (PR), odzwierciedla przekonanie, że uczciwość przestała być już cechą osoby, a stała się konstruktem, który – jak każdy inny towar czy usługa – może być zamówiony i wytworzony. Uczciwość i prawość nie istnieją przecież *rzeczywiście*, ale jedynie *wirtualnie*. Nie jest ważne, czy polityk, lekarz czy urzędnik *jest* uczciwy i kulturalny, ale czy *uchodzi* za takiego. W ten sposób najzwyczajniejsza obłuda i rynsztokowa kultura, jeżeli tylko jest dobrze "zarządzana" przez specjalistów od wizerunku, może z powodzeniem wejść na salony i uzyskać prawo bytu w przestrzeni publicznej.

Jak powinno zareagować społeczeństwo na tę *niby* uczciwość i *niby* prawość polityków. Powinno chyba sięgnąć po te same narzędzia kształtowania

wizerunku. Chyba najlepszą reakcją będzie *niby* szacunek wobec takich polityków na co dzień i *niby* poparcie ich w następnych wyborach.

Sierpień 2014

## Kazus Chazana

Pośpiech i medialna nagonka, jakie towarzyszyły odwołaniu profesora Bogdana Chazana z funkcji dyrektora Szpitala im. Świętej Rodziny w Warszawie, każą widzieć w tym wydarzeniu coś więcej, niż jedynie lokalny epizod. Kazus Chazana ma stanowić ostrzeżenie dla wszystkich pracowników służby zdrowia, którzy zdecydują się przykładać do swoich działań miarę etyczną. Przecież tym, czego się od nich wymaga, jest jedynie ścisłe wykonywanie procedur, a niezależne myślenie jest dopuszczalne jedynie w ich ramach. Jeżeli ktoś taki, jak Chazan może zostać wyrzucony z eksponowanej posady dyrektora szpitala, i to mimo znakomitych wyników placówki, niekwestionowanej kompetencji oraz znakomitej opinii ogromnej większości pacjentek, to cóż dopiero stanie się z szeregowym lekarzem, który być może dopiero rozpoczyna swoją karierę medyczną? Taki czytelny komunikat ma raz na zawsze wybić im z głowy etyczną prostolinijność i zapewnić gładkie dopasowanie do systemu.

Profesor Chazan jest lekarzem, który odważył się działać w zgodzie z własnym sumieniem, które – co trzeba podkreślić – nie jest konfesyjnie zawężone, ale jest sumieniem lekarza, dla którego życie i zdrowie pacjenta stanowią najwyższą normę działania. Jeżeli chodzi o kwestię aborcji, Chazan jest, rzec by można, "człowiekiem z przeszłością". Nigdy nie ukrywał tego, że sam kiedyś dokonywał aborcji. Zmienił jednak swoje postępowanie i dziś należy do jej zdecydowanych przeciwników. Jego postawa stała się z biegiem czasu

symbolem sposobu uprawiania medycyny, który wymyka się politycznej poprawności. Dla zwolenników rewolucji kulturowej, która ma totalnie zniwelować wszelkie pozostałości kultury wyrosłej na wierze chrześcijańskiej, taka postawa stała się śmiertelnie niebezpieczna. Ktoś taki, jak profesor Chazan jest solą w oku, bo staje się dla innych pracowników służby zdrowia punktem odniesienia. Daje oparcie wszystkim niezdecydowanym, którzy zawsze już chcieli postąpić podobnie, ale brakowało im odwagi. Staje się jednak także uosobionym wyrzutem sumienia dla tych, którzy skapitulowali i poddali się naciskowi "obowiązujących standardów".

Czy profesor Chazan naruszył prawo? Na to pytanie należałoby odpowiedzieć innym: Czy można nie naruszyć prawa, które jest samo w sobie sprzeczne? Które przyznaje lekarzowi prawo do sprzeciwu sumienia, a jednocześnie mu je odbiera, zobowiązując go do współdziałania w wykonaniu świadczenia, które z etycznym względów odrzuca?

Dlaczego w czasach, gdy w Internecie można uzyskać informacje na temat aktualnej prognozy pogody dla każdej niemal miejscowości w Polsce, zwolennicy aborcji nie potrafią sami zadbać o informację, dotyczącą dostępności tego typu "usług medycznych? Byłoby to oczywiście możliwe, ale zadanie to zostaje celowo powierzone lekarzom, którzy tych usług odmawiają. Logika takiej regulacji jest jasna: w ramach systemu usług zdrowotnych nikt nie może mieć czystych rąk. Nawet ten, który z etycznych względów nie chce bezpośrednio w nich uczestniczyć, musi pośrednio być w nie uwikłany, by odebrać siłę jego świadectwu. Klarowne postawy mogą zaburzyć sterylną jednolitość systemu....

Profesor Chazan ma rację, twierdząc, że jego kazus jest znakiem nadciągającej rewolucji kulturowej. Jedną z jej cech są akcenty totalitarne. Na razie mamy do czynienia ze stosunkowo "miękkim totalitaryzmem", który

polega na próbie wtłoczenia społecznie i kulturowo doniosłych obszarów życia publicznego w ramy poprawności politycznej, przy jednoczesnym piętnowaniu i ośmieszaniu oponentów. Jedynie w pojedynczych przypadkach sięga się po środki prawne, eliminujące ich z czynnego życia publicznego. Przejście do "twardego totalitaryzmu", w ramach którego niezależność sumienia będzie traktowana jako wykroczenie, uniemożliwiające normalne funkcjonowanie w przestrzeni publicznej, jest jedynie kwestią czasu.

Dramatycznej aktualności nabierają w tym kontekście słowa Jana Pawła II wypowiedziane w Skoczowie w roku 1995 r. Są one już nie tylko ostrzeżeniem związanym z czasami komunizmu, ale stają się prorocstwem na najbliższą przyszłość Polski i całej europejskiej kultury: *Wbrew pozorom, praw sumienia trzeba bronić także dzisiaj. Pod hasłami tolerancji, w życiu publicznym i w środkach masowego przekazu szerzy się nieraz wielka, może coraz większa nietolerancja. Odczuwają to boleśnie ludzie wierzący. Zauważa się tendencje do spychania ich na margines życia społecznego, ośmiesza się i wyszydza to, co dla nich stanowi nieraz największą świętość. Te formy powracającej dyskryminacji budzą niepokój i muszą dawać wiele do myślenia.*

Wrzesień 2014

## **Sanguis martyrum, semen christianorum**

"Krew męczenników nasieniem chrześcijan" - to zdanie, przypisywane Tertulianowi, jednemu z najwybitniejszych łacińskich ojców Kościoła, żyjącemu na przełomie II i III w. po Chr., zostało wypowiedziane w czasach, gdy prześladowania wierzących w Chrystusa były na porządku dziennym. Przychodzi

ono na myśl również dzisiaj, bo, jak się okazuje, początek XXI w. jest naznaczony krwią chrześcijan w niewiele mniejszym stopniu, niż pierwsze wieki.

Zdjęcia, jakie napływają z Iraku i Syrii powodują niezwykle mocny wewnętrzny wstrząs, ale - co tu ukrywać - także gniew. Odcięte głowy, przy których, jak przy kolekcji arbuzów, fotografują się ich roześmiani oprawcy; zdjęcia podryzania gardeł, podobne do zdjęć z ubojni zwierząt; ukrzyżowani nieletni chłopcy; sceny, jak z archiwalnych zdjęć oddziałów SS i opisów sowieckich miejsc kaźni: szeregi klęczących ludzi ze skrępowanymi do tyłu rękami, a nad nimi ich oprawcy strzelający z karabinów maszynowych w ich głowy. Tych zdjęć nie chce się widzieć po raz drugi, bo stopień okrucieństwa, z jakim w Iraku i Syrii dokonano rzezi tych ludzi, w tym także wielu chrześcijan, przechodzi najbardziej okrutne i bestialskie fantazje. Wydaje się, że sprawcy nie tylko celowo epatują okrucieństwem przed światem, by siać grozę, ale że bestialskie mordy sprawiają im jakąś zwierzęcą przyjemność, są powiązane z pewną formą ekstatycznego przeżycia, które chce się nieustannie powtarzać.

Odpowiedzialna za tę nową falę bestialskich mordów jest organizacja, określająca siebie jako Państwo Islamskie. Jest to terrorystyczna grupa, która „specjalizuje się” w dokonywaniu najbardziej wyuzdanych zbrodni. Ofiarami są przy tym jedynie sporadycznie uprowadzeni obcokrajowcy, jednak większość z nich to tubylcy, żyjący na tych terenach od zawsze. Wśród nich jest wielu takich, którzy mają odwagę przyznać się do Chrystusa i właśnie za to są mordowani. A wszystko to dokonuje się rzekomo w imię prawa Bożego i z zamiarem oddania czci Bogu. Nie może nie pojawić się pytanie, cóż to za bóg, który nakazuje nie tylko eksterminację inaczej wierzących, ale nadto dokonywanie tego z tak niewyobrażalnym okrucieństwem? Jeżeli jest to wiara, to jest ona w dosłownym tego słowa znaczeniu demoniczna, gdyż jedynie Szatan może opętać człowieka tak dziką żądzą okrutnej zbrodni.

Jak się dowiadujemy, powstanie Państwa Islamskiego nie byłoby Możliwe bez wsparcia mocarstw zachodnich, szczególnie USA, które wiązały z nim nadzieje na polityczne przetasowania w regionie. Okazało się, że ta polityczna gra okazała się całkowicie chybiona. Niewątpliwie niedawne wydarzenia stanowią sytuację, w której wolny świat nie może ograniczyć się do dyplomacji i słownych deklaracji, ale powinien ruszyć na pomoc niewinnym ofiarom bestialskich zbrodni. Chociaż dawna katolicka nauka o wojnie sprawiedliwej została współcześnie poddana rewizji, to jednak jest kluczowy sens pozostał: istnieje usprawiedliwiona obrona za pomocą wszystkich dostępnych środków, również militarnych, jeżeli ma się do czynienia ze ślepym i ogarniętym żądzą mordu niesprawiedliwym agresorem. W celu powstrzymania go wolno użyć siły, gdyż w przeciwnym wypadku pozostawia się bezbronne ofiary na jego pastwę.

W tej tragicznej sytuacji tym bardziej wyraziście jaśniej postawa chrześcijan, którzy stali się ofiarami bestialskich mordów. Mogli ocalić swoje życie za cenę wyrzeczenia się Chrystusa i przejścia na Islam, a jednak pozostali niezłomni. Taką heroiczną odwagą oznaczyli się niekiedy kilkunastoletni chłopcy. To są niewątpliwie ludzie, którzy zasługują na chwałę ołtarzy. To współcześni święci męczennicy, ludzie z wizji Apokalipsy św. Jana, odziani w białe szaty, z palmami zwycięstwa w rękę, „którzy przychodzą z wielkiego ucisku. I opłukali swe szaty i wybielili je w krwi Baranka” (Ap 7, 14). Okrutna śmierć chrześcijańskich męczenników w Iraku i Syrii jest niewątpliwie wielkim znakiem dla wszystkich wierzących Chrystusa. Pyta nas o moc naszej przynależności do Chrystusa, o zdecydowanie w wyznawaniu Chrystusa, o gotowość do ponoszenia ofiar w imię wierności Ewangelii. Chociaż zdarzają się również w wolnych społeczeństwach świata objawy nietolerancji wobec chrześcijan, to jednak patrząc na tak okrutne męczeństwo chrześcijan w Iraku i

Syrii trudno nazywać nieprzyjemności, jakie znoszą chrześcijanie w Europie i Ameryce prześladowaniami za wiarę. Nie oznacza to jednak, że europejskim chrześcijanom, również Polakom, nie przyjdzie stanąć wobec tak radykalnej próby wiary– i to szybciej, niż myślą! Wtedy krew tych nieznanymi braci z Bliskiego Wschodu będzie stanowiła mocne świadectwo i zaproszenie do dorównania ich postawie. Dzisiaj warto wydobyć na światło dzienne te heroiczne postawy zwyczajnych przecież ludzi. I warto pokazywać je i opowiadać o nich w świecie, którego jedyną troską zdają się być kolejne romanse, uduchowione kreacje i głupawe wypowiedzi lokalnych celebrytów; w świecie, który podnosi lament z powodu najmniejszej krytyki zła, nazywając ją nietolerancją. Wtedy być może krew irackich i syryjskich męczenników stanie się nasieniem, z którego wyrosną nowe pokolenia prawdziwych chrześcijan.

Październik 2014

### **Związki kazirodcze - przecież to tylko dyskusja**

Wpis krakowskiego filozofa, prof. Jana Hartmana na blogu tygodnika "Polityka", w którym twierdzi on, że czas rozpocząć dyskusję na temat związków kazirodczych, wywołał powszechne oburzenie, nie tylko – jak się można było spodziewać – po prawej stronie tzw. sceny politycznej, ale także wśród osób o zdecydowanie liberalno-lewicowym nastawieniu. Nie pomogły tłumaczenia profesora, że jego wpis był reakcją na propozycję niemieckiej Rady Etyki, która w obszernym dokumencie ogłoszonym 24 września 2014 zaproponowała, by zaprzestać karania kontaktów seksualnych między dorosłym rodzeństwem oraz że sam profesor chce jedynie zainicjować przygotowanie społeczeństwa do dyskusji na temat ostatniego ze społecznych tabu, jakim jest

kazirodztwo. Punktem kulminacyjnym społecznego oburzenia było usunięcie Hartmana z Twojego Ruchu, w której to partii był on przewodniczącym krajowej rady politycznej oraz skierowanie sprawy do rzecznika dyscyplinarnego macierzystej uczelni profesora, jaką jest Uniwersytet Jagielloński.

Dla każdego trzeźwo myślącego człowieka nie ma tu o czym dyskutować, a moralne zło kazirodztwa nie ulega najmniejszej wątpliwości. Może jednak dziwić gwałtowna reakcja macierzystej partii Hartmana i wspierających ją środowisk. Z ich perspektywy rzeczywiście warto zapytać, na czym miałyby polegać wina profesora? Hartman nie zrobił przecież nic innego, jak tylko konsekwentnie domyślał do końca genderową perspektywę płci i relacji seksualnych, powiązaną z liberalnym nastawieniem etycznym. Jeżeli bowiem kryterium osobistej i społecznej moralności nie ma już być natura, ale "orientacja seksualna", rozumiana jako *zdolność każdej osoby do rozwinięcia głębokiego uczuciowego, emocjonalnego i seksualnego pociągu oraz intymnych i seksualnych związków z osobami innej płci lub tej samej płci lub różnych płci* oraz "tożsamość płciowa" rozumiana jako *głęboko odczuwane wewnętrzne i indywidualne doświadczenie płci społecznej, która może lub nie odpowiadać płci określonej przy urodzeniu*, to doprawdy nie ma powodów dla których trzeba by moralnie dyskredytować kazirodztwo czy też prawnie go zakazywać. Powyższe definicje orientacji seksualnej i tożsamości płciowej pochodzą z Zasad Yogyakarta – uchwalonego w 2006 r. genderowego manifestu, który w zamyśle sygnatariuszy ma stać się podstawą prawodawstwa. Wychodząc z tych genderowo-liberalnych założeń Hartman ma rację: związki kazirodcze należą do całego szeregu form ekspresji orientacji seksualnej, spośród których wszystkie są jednakowo akceptowalne, bo przecież nie istnieje ponadindywidualny punkt odniesienia. No chyba, żeby uznać za taki społeczną dezaprobatę i prawny zakaz. Ale, jak od razu stwierdza Hartman, moralne "zło" tego typu relacji

wynika właśnie stąd, że są one zakazane. Ale skoro każdy ma prawo sam określać swoje preferencje, to społeczeństwo powinno je szanować, jako wyraz korzystania z prawa człowieka. Jak zneutralizować społeczną niechęć i prawny zakaz? Po prostu rozpoczynając dyskusję społeczną. Gdy wystudzą się pierwsze emocje, można oczekiwać, że społeczeństwo wkrótce zaakceptuje i tę formę relacji seksualnych, bo przecież być może – jak sądzi Hartman – "piękna miłość brata i siostry jest czymś wyższym niż najwznioślejszy romans niespokrewnionych ze sobą ludzi".

Ironicznie można by powiedzieć, że właściwie trzeba być wdzięcznym prof. Hartmanowi za to, że bardzo jasno pokazał, ku czemu ostatecznie prowadzi konsekwentne zastosowanie genderowej wizji płci i seksualności. Nie trzeba przenikliwego umysłu, by dostrzec, że w takiej optyce żadna orientacja seksualna, również ta zoofilska czy pedofilska, nie stanowi problemu w ramach tego typu rozumowania. Problemem jest jedynie brak akceptacji społecznej i ewentualnie wyłączenie przemocy, a wtedy społeczeństwo powinno pogodzić się z tym, że poszczególne osoby mają różne preferencje seksualne.

Deklaracja prof. Hartmana jest zapowiedzią świata, który ma powstać na zgliszczach dawnej koncepcji płci, małżeństwa i rodziny, której korzenie są zasilane z judeochrześcijańskiej wizji ludzkiej natury. Świat ten, wraz z pełną akceptacją nie tylko kazirodztwa, ale także innych dewiacji seksualnych, nadciągnie nieuchronnie, jeżeli społeczeństwa pozwolą na wprowadzenie w życie największego z dotychczasowych eksperymentów inżynierii społecznej, jakim jest genderyzm.

Listopad 2014

## **Zmiażdżona przez śmierć**

Po tym, jak cierpiąca na nieuleczalnego raka mózgu 29-letnia Brittany Maynard poddała się medycznie wspomaganemu samobójstwu, jej bliscy oświadczyli, że był to jej dobrze przemyślany i świadomy wybór i że wybrała umieranie z godnością. "Odeszła tak, jak chciała: spokojnie, we własnej sypialni, w ramionach tych, których kochała" – jak można przeczytać w wydanym oświadczeniu.

Nie ulega wątpliwości, że pierwszym uczuciem, jakie się odczuwa przyglądając się losowi Brittany, jest głębokie współczucie. Wiadomość, że zdiagnozowanie nieuleczalnego guza mózgu, który nieuchronnie spowoduje śmierć w bliskim czasie, przewartościowuje każde życie. Bezradność otoczenia przysparza dodatkowych cierpień. Zazwyczaj jednak ta fala współczucia uruchamia nie tylko konkretną pomoc, jeśli taka jest konieczna, ale także dodaje sił, zarówno rodzinie, jak i samej osobie chorej, które pozwalają zmierzyć się z nadchodzącym ostatecznym wyzwaniem. Ludzka obecność i fachowa wiedza medyczna sprawiają, że człowiek potrafi przeżyć swoje życie do końca w miarę bez bólu i z godnością.

W tym wypadku narracja medialna jest jednak zupełnie inna. Określanie samobójczej śmierci Brittany jako "umieranie z godnością" zdaje się sugerować, że kto odrzuca samobójstwo i zgadza się na naturalną śmierć, umiera pozbawiony tej godności, że takie umieranie, poprzedzone nierzadko utratą świadomości i długą agonią, jest niegodne człowieka. Czy zatem czyn Brittany powinien zostać uznany za akt odwagi wobec nieuchronności śmiertelnej choroby, wręcz za chwalebne zwycięstwo? Szukając odpowiedzi na to pytanie

nie sposób nie sięgnąć do słów Jana Pawła II z encykliki "Evangelium vitae": [...] *na płaszczyźnie kulturowej zaznacza się [...] wpływ swoistego prometeizmu człowieka, który łudzi się, że w ten sposób może zapanować nad życiem i śmiercią, ponieważ sam o nich decyduje, podczas gdy w rzeczywistości zostaje pokonany i zmiażdżony przez śmierć nieodwracalnie zamkniętą na wszelką perspektywę sensu i na wszelką nadzieję* (EV 15). Brittany nie wygrała tej bitwy. Wybierając śmierć w imię wolności i prawa do samostanowienia, dokonała ostatecznego zamachu właśnie na swoją wolność, bo ta została unicestwiona wraz z nią samą. Jedynie Bóg jest w stanie osądzić, ile w tym autodestrukcyjnym akcie było lęku i desperacji, ile wpływu otoczenia, ile mentalności gloryfikującej samostanowienia aż do autodestrukcji, a ile klarownej decyzji odrzucenia Bożego daru życia wtedy, gdy stawia ono wysokie wymagania.

W tej całej historii istotny jest jeszcze jeden istotny element. Fakt, że kilkuminutowe nagranie Brittany, na którym dzieliła się zamiarem dokonania samobójstwa, obejrzało dziewięć milionów internautów, pozwala przeczuwać, jak silny wpływ ma jej śmierć na dyskusję na temat legalizacji eutanazji na całym świecie. Brittany, która współpracowała z organizacjami promującymi poszerzenie prawa do eutanazji i wspomaganego medycznie samobójstwa na te stany w USA, gdzie te działania są jeszcze zakazane, stała się świadomą aktywistką promującą eutanazję. Dochodzi przy tym do głosu nowy silny akcent. Zazwyczaj jako koronny argument za legalizacją eutanazji wysuwano właśnie współczucie wobec nieznośnego bólu. Chociaż tu także jest o nim mowa, to jednak nie on jest główną przyczyną samobójczej śmierci Brittany. Nie jest nim także w pierwszym rzędzie lęk przed jego nadejściem. Brittany nie jest przykuta do łóżka, nie doświadcza wielkich cierpień, a jedynie mierzy się w myślach z ich możliwym nadejściem. Na pierwszy plan wysuwa się natomiast

autonomiczna wola decydowania o własnej śmierci w czasie, który się samemu wybiera. Powodem takiej decyzji nie musi być wcale fizyczny ból, bo przecież psychicznie chorzy cierpią równie mocno. I nie tylko oni. Czyż utrata sensu życia, również, jeśli nie jest powiązana z jakimkolwiek odczuwalnym bólem, nie miałyby być dla konkretnej osoby wystarczająco ważną przyczyną, by zakończyć życie? W ten sposób drzwi do legalizacji eutanazji, raz uchylone poprzez fałszywe współczucie, zostają szeroko otwarte dla respektu wobec decyzji o samounicestwieniu. W świetle losu Brittanii jedno wydaje się pewne: świat, w którym godność mierzona jest decyzjami samobójczymi, a społeczeństwo, zamiast pomocy każdemu choremu w przeżywaniu jego życia aż do jego kresu, oferuje osobie zamierzającej popełnić samobójstwo odpowiednie ramy prawne i medyczne środki oraz "życzliwe" towarzyszenie w jego dokonaniu, staje się światem wrogim życiu. Oblicze takiego świata nosi wyraźne rysy cywilizacji śmierci.

Grudzień 2014

### **Franciszek o Europie**

Papież Franciszek nie byłby sobą, gdyby w swoim przemówieniu na forum Parlamentu Europejskiego w Strassburgu nie użył jakiegoś zabawnego kolokwialnego wyrażenia. Określenie zmęczonej i starzejącej się Europy jako *[...] babci już bezpłodnej i nie tętniącej życiem* znalazło się w sprawozdaniach większości agencji informacyjnych z tego wydarzenia. Jednak papieskie przesłanie do Europy zasługuje na uwagę wcale nie jedynie ze względu na to ironiczne stwierdzenie.

Swoje wystąpienie papież Franciszek oparł na wskazaniu na godność osoby, właśnie jako osoby, a nie tylko jako wyborcy czy konsumenta. Zostanie ona właściwie zrozumiana dopiero wtedy, gdy będzie się ją pojmowało jako *godność transcendentną*. Takim stwierdzeniem Franciszek z jednej strony dotyka samego sedna europejskiej tożsamości, którą Europa wypisuje od lat na swoich sztandarach, a z drugiej strony podaje jego rozumienie radykalnej krytyce. Bez otwarcia osoby na to, co ją przekracza, na Boga właśnie, ona sama zamyka się w sobie, staje się absolutem, zaczyna sobie rościć coraz to nowe prawa, którym nadaje miano praw człowieka, a przez to traci z oczu nie tylko Boga, ale także innych i dobro wspólne – niezbędny wymiar klasycznego rozumienia praw człowieka. Stając się, jak stwierdza papież, monadą, *coraz bardziej nieczułą na otaczające ją „monady”*, wyalienowana osoba popada w straszliwą samotność, właściwą ludziom pozbawionym więzi. Papież nie waha się ostrzegać przed skutkami takiego nastawienia: *Istocie ludzkiej grozi sprowadzenie do bycia trybikiem w mechanizmie, który traktuje ją na równi z dobrem konsumpcyjnym, którego można używać, tak że – jak to niestety często widzimy – gdy życie nie odpowiada potrzebom tego mechanizmu, jest odrzucane bez większego wahania, jak w przypadku nieuleczalnie chorych, ludzi starszych, opuszczonych i pozbawionych opieki lub dzieci zabitych przed urodzeniem*. Konkretnie problemy społeczne, do jakich należą problemy imigrantów, polityka zatrudnienia, a także ochrona środowiska, włącznie z wewnętrznym środowiskiem człowieka, są skutkami błędnego postrzegania statusu i godności osoby.

Franciszek dotyka także innego czułego punktu samoświadomości Europy – świadomości jej duchowych fundamentów. Nawiązując do fresku Rafaela przedstawiającym tzw. Szkołę Ateńską, którego centralne postacie wskazują zarówno na niebo, a więc na odniesienie do transcendencji (Platon), jak i na

ziemię, a więc na konkretną rzeczywistość (Arystoteles), papież Franciszek stwierdza, że od umiejętnego powiązania tych dwóch wymiarów, które to powiązanie chroni przed ideową pustką, zależy przyszłość Europy. To nie świadomość religijnych korzeni, ale właśnie ideowa pustka, stoi u źródeł patologii i przemocy – również na tle religijnym, gdyż to zapominanie o Bogu, a nie jego wielbienie wykrzywia człowieka. Nie ulega wątpliwości, że dwutysiącletnia historia Europy to historia związku z chrześcijaństwem. Orędzie Franciszka jest w tym kontekście jednoznaczne: *Zachęcam was więc do pracy, aby Europa na nowo odkryła swoją swą dobrą duszę*. Bez niej nie będzie możliwe budowanie Europy, *która nie obraca się wokół gospodarki, ale wokół świętości osoby ludzkiej*.

Sam fakt, że papież Franciszek po niespełna dwóch latach od początku swojego pontyfikatu otrzymuje zaproszenie do wystąpienia na forum Parlamentu Europejskiego, podczas gdy poprzednia taka wizyta papieża w tym miejscu odbyła się ponad dwadzieścia pięć lat wcześniej, trzeba uznać za znaczący. Ciepłe przyjęcie Franciszka wynika niewątpliwie z lansowanego powszechnie przekonania, że jest on gotów uczynić Kościół bardziej nowoczesnym, liberalnym i dostosowanym do wymagań współczesnego świata. Właśnie to przekonanie, chociaż szablonowe i płytkie, sprawia, że papież jest słuchany z pewnym kredytem zaufania, którym w kręgach europejskiej technokracji nie obdarzano jego poprzednika. Jest to niewątpliwie szansa, by dotrzeć z chrześcijańskim przesłaniem do tych niełatwych i – w sprawach wiary chrześcijańskiej i Kościoła – ekstremalnie sceptycznych słuchaczy. Pozostaje jednak pytanie, czy Europa zechce naprawdę słuchać tego co mówi Franciszek, czy też pozostanie przy swoim szablonie, zgodnie z którym liberalny i dobry Franciszek zмага się ze skostniałym i złym Kościołem? A jeżeli Europa uważnie

posłucha tego, co Franciszek faktycznie ma do powiedzenia, to czy będzie go nadal hołubiła?

Ks. Marian Machinek MSF